

**CZYTAJ
NAS:**

- **CO TYDZIEŃ
W GAZECIE**
- **CODZIENNIE
W INTERNECIE**

ROZMAITOŚCI ełckie.pl

EŁK, GOŁDAP, OLECKO

ISSN 1505-6163 NR INDEKSU 350176
DODATEK BEZPŁATNY

Nr 8 (1227)
CZWARTEK
23.02.2023



DZIŚ W NUMERZE
Bezpłatny
dodatek
Gazeta Pacjenta!

CZY KIEROWCÓW CZEKAJĄ KOLEJNE OPŁATY?



**WRACA TEMAT PŁATNYCH PARKINGÓW W CENTRUM EŁKU.
CZY JEST TO NIEUNIKNIONE? CZĘŚĆ RADNYCH JUŻ TERAZ JEST PRZECIW.
MIASTO PRZEKONUJE, ŻE PÓKI CO TAKICH PLANÓW NIE MA. S.3**

ISSN 0137-9127



9 770137 912040

**OTWARTE OKNO
I KOCIÓŁ MYŚLI
PANA SŁAWKA**

LUZIE || S.4



■ Ełk jest pełen ciekawych ludzi, którzy właśnie w spokojnej i wiecznie zielonej stolicy Mazur rozwijają swoje jeszcze ciekawsze pasje. Bez wątpienia należy do nich Sławomir Stankiewicz, były kolejarz, a prywatnie poeta i pasjonat fotografii. Ełczanin właśnie wydał nowy tomik wierszy.

**LUZIE CHYBA
UWIERZYLI, BO
ZACZĘLI MNIE
WSPIERAĆ**

LUZIE || S.6-7



■ Wie pan, ludzie generalnie się nie zmieniają, ale czasami trauma potrafi zmienić człowieka i mniej jako hulaszczego faceta zmieniła — mówi Ireneusz Markowski, prezes Fundacji „Kapnij dla Afryki”, który od roku dzieli swoje życie między Afrykę i znaną wojną Ukrainę.

**W OKOLICACH PROSTEK ZNALEŻLI SIEKIERĘ
Z EPOKI BRĄZU!**

HISTORIA || S.2

■ Stowarzyszenie Jaćwież po raz kolejny nas zaskakuje i jednocześnie uczy historii naszego regionu. Tym razem poszukiwacze odnaleźli bardzo rzadką siekierkę z epoki brązu. Znaleźisko jest wstępnie datowane na 900-1300 lat przed naszą erą!



ZDALIŚMY EGZAMIN Z MIŁOSIERDZIA

SPOŁECZEŃSTWO || S.5

■ W piątek, 24 lutego, mija rok od wybuchu wojny w Ukrainie. Z jednej strony to czas zadumy i refleksji. Z drugiej strony czas podsumowań. — Do tej pory wyjechało od nas 1 150 ton darów — podsumowuje ksiądz Ryszard Sawicki, wicedyrektor Caritas Diecezji Ełckiej.



LUDZIE CHYBA UWIERZYLI, BO ZACZĘLI MNIE WSPIERAĆ

Wie pan, ludzie generalnie się nie zmieniają, ale czasami trauma potrafi zmienić człowieka i mnie jako hulaszczego faceta zmieniła — mówi Ireneusz Markowski, prezes Fundacji „Kapnij dla Afryki”, który od roku dzieli swoje życie między Afrykę i znękaną wojną Ukrainę.

— Jak człowiek, który dzieli swój czas na dwa kontynenty odbiera wojenną rzeczywistość panującą u naszego wschodniego sąsiada? Jest pan mocno zaangażowany w niesienie pomocy znękanym wojną Ukraincom.

— Wszystkim mówię, że to jest straszna sprawa. Odbieram to troszeczkę inaczej, bo od 4 lat żyję w Afryce, a może dokładniej — nie tyle co żyję, co jestem kilka tygodni tam i kilka tutaj i napatrzyłem się na różne rzeczy, w tym potyczki między plemionami i inne drastyczne sceny, ale powiem szczerze, że np. wizyta w Buczy wywarła na mnie niesamowite wrażenie. 2 IV wyrzucono z niej Rosjan i weszli Ukraińcy, a ja byłem tam w zasadzie świeżo po masakrze, bo 14 IV i wówczas tam jeszcze tak naprawdę nikogo nie było. A wjechałem tam tak naprawdę tylko dzięki wojskowym, bo pomagaliśmy dostarczać pewne rzeczy dwóm jednostkom k. Kijowa i dzięki temu szef jednostki dał nam ochronę, samochód i żołnierzy z bronią. No i przy takiej eskorcie pojechaliśmy. Wjechaliśmy do Buczy i staliśmy przy popalonych rosyjskich czołgach i sprzętach; przejeżdżaliśmy przez zdemolowany most do Kijowa. Najgorsze było to, że byliśmy tam akurat w dniu, kiedy zjechali tam dziennikarze i akurat wtedy wyciągano zwłoki z rowów.

— Przez media przewijało się pewne zdjęcie, na którym widać było tabun dziennikarzy ustawionych nawet w 3 rzędach i każdy z nich miał skierowany obiektyw na rozszarpane ciało cywila obok którego siedział kot. Tych dziennikarzy naprawdę było w Buczy tak wielu?

— Tak, to było takie duże zgromadzenie koło olbrzymiej cerkwi w samym centrum Buczy i było ich tam kilkunastu. Leżało 5 ciał, w tym kobiety. Jedno bez głowy. Innych szczegółów

nie widziałem, bo sam ten widok ciał mi „wystarczał”. Wokół było pełno reporterów, a potem wyszedł pop, który tę masakrę widział. Opowiedział nam taką historię: obok tego miejsca była taka willa i on patrzył, jak jedna rodzina — ojciec, matka i dwójka dzieci — zaczęła się pakować do samochodów. Podjechał czołg, Rosjanie otworzyli ogień z karabinu maszynowego i rozstrzelali wszystkich.

— Zakładam, że z racji swoich doświadczeń afrykańskich, gdzie — jak sam pan mówi — widział nie jeden akt przemocy, ten impakt śmierci uderzył pana w mniejszym wymiarze.

Jak reagowali ci, którzy tam z panem się pojawili?

— Mój znajomy który był ze mną — przewodnik z Lwowa — poki wiatr wiał z jednej strony, trzymał się jeszcze ok, ale gdy nagle ten zmienił kierunek i poczuliśmy zapach ciał, na 3 dni przestał się do mnie odzywać.

— Cały czas jest pan zaangażowany w niesienie pomocy Ukrainie i jej mieszkańcom oraz żołnierzom.

— Tak, dostarczamy koce i ciepłą odzież, ale dostarczaliśmy im wówczas coś o wiele bardziej ważnego. Będąc niedaleko Doniecka, dostaliśmy informację, że w szpitalu polowym leżą pod termicznymi kocami ranni żołnierze, a nie mają ogrzewaczy. Poproszono nas, abyśmy chociaż jedną sztukę takiego ogrzewacza rannych dostarczyli. Koszt jednej sztuki to ok. 1000 USD. Rozsiałem wiadomość w Polsce i w Niemczech — mam tam znajomych — zrobiliśmy zbiorke i zadzwoniłem do tego kolegi z Lwowa i powiedziałem „wiesz co, nie mamy jednego ogrzewacza, mamy 20!”. Zbieramy cały czas datki u znajomych, tutaj w Polsce i również w Europie, poprzez „Kapnij dla Afryki”. Ta Fundacja też ma swój wymiar i chcę pokazać, że Afryka „daje ciepło” Ukrainie. Kontynuujemy również



Fot. Ireneusz Markowski

zbiorke konserw, wczym pomagają moi znajomi. Gdy tylko dowiadują się, że znowu wyjeżdżamy (z pomocą) kompletują i zwożą ciepłe rzeczy. Pamiętam, że gdy to wszystko się zaczęło (24 II 2022 r.) to zbieraliśmy i kupowaliśmy ciepłe skarpety, latarki, powerbanki, kuchenki gazowe i wszelkiego typu ogrzewacze np. typu koza. Regularnie staramy się organizować konwoje, złożone z 4-5 samochodów napakowanych potrzebnymi rzeczami. Niedługo zamierzamy wrócić z kolejnymi.

— Wszystko z przeznaczeniem na wojenny front?

— Tak, ale mamy też kilka takich burs, gdzie są uchodźcy, m.in. w Chmielnickim. Po pierwszym ataku, wielu z Buczy wylądowało właśnie tam. Ci, którzy jakoś byli sytuowani i kogoś mieli na zachodzie, ruszyli do Europy, ale gdy byłem pod granicą moldawską

— na południu — spotkałem mnóstwo uciekinierów, właśnie z Buczy i z Irpienia. Oni tak naprawdę tylko siedzieli, a gdy się patrzyło takiemu człowiekowi w oczy, to tak, jakby się patrzyło na ducha.

— Do tej pory był pan znany ze względu na wielkie zaangażowanie pomocowe w Afryce. Dzięki panu powstało tam już m.in. 20 studni oraz duży i nowoczesny sierociniec. To wspaniałe osiągnięcie.

— Akurat sierociniec jest w nie tak bardzo trudnym i ciężkim w dostępie miejscu, w Kenii, 20 km od wybrzeża i ok. 100 km od Mombasy (drugie co do wielkości miasto w Kenii). Z sierocincem było tak, że jak zbudowałem pierwsze trzy studnie (2019 r.), to potem spotkałem się ze swoimi lokalnymi przyjaciółmi i powiedziałem im, że muszę zrobić coś więcej. Bo muszę. Wpadłem na

pomysł, aby zaopiekować się bezdomnymi dziećmi. To był grudzień. W styczniu znaleźliśmy ziemię, kupiłem ją i zaczęliśmy budować kompleks kilku budynków. To był trudny czas, bo pamiętam, że w marcu 2020 r. wyleciałem praktycznie ostatnim samolotem do Europy i powróciłem w sierpniu, prawie że pierwszym. Pamiętam, że we Frankfurcie — trzecim co do wielkości lotnisku w Europie — praktycznie nie było ludzi. Jakoś się nam to udało. Doceniła też nas lokalna telewizja, która przyjechała na miejsce. Od stycznia do października udało nam się skończyć kompleks tych kilku budynków i wprowadziliśmy tam taką grupę dzieci, które znaleźliśmy i które nie miały rodziców, bądź miały ich chorych, np. na HIV. Dzieci pojawiły się w grudniu, a od stycznia przeszły kwalifikację w takiej lokalnej szkole w buszu, gdzie

wszystkie nasze dzieciaki się uczą. Przez pierwsze pół roku chorowały — nie miały witamin, były wycieńczone, niedożywione i obszarpane, ale wprowadziliśmy naprawdę dobre jedzenie, w tym warzywa i owoce. Wokół naszego miejsca, zawsze gdy tam jestem, kręci się z setka innych obdartych dzieci i patrzą na kontrast tego co jest na zewnątrz — za murem — i tego co jest w środku. Dzisiaj mamy w sierocinciu plac zabaw. Na święta dzieci dostały mięso, prezenty i nowe ubrania. Mają tam wszystko i przestały chorować. Natomiast co do studni, pierwszą jaką powstała nazwałem imieniem ojca — Ryszard 1.

— Co pana uderzyło w Afryce, gdy po raz pierwszy przyjrzał się jej pan dokładnie?

— Wiele rzeczy, np. małe dzieci szukające rękoma wody w wyschniętym korycie rzeki i następnie filtrujące ją do 10 litrowych pojemników; malutkie dzieci pasterzy, które chodzą cały dzień z kubelkiem, nieraz głodne i spragnione. Te dzieci nie chodzą do szkoły. Tutaj wspomnę, że mamy program wsparcia dziewczynek, które przychodzą do szkoły nawet po 30 km i zostają w niej, ale jeżeli się uda, bo jeżeli nie mają podstawowych art. higienicznych, to rezygnują z edukacji. Wraz z Radiem

REKLAMA

10923ekwe-c-g

Shahidi i organizacją Zzuri Kenya Foundation – to jest w centrum Kenii – jeździmy po lokalnych szkołach artystycznych i dziewczyny z Zzuri zostają tam i edukują te dziewczęta.

— W ilu krajach pan pomaga?

— Na początku to była Kenia. W Ugandzie robiliśmy małe programy, w Ruan-dzie poznałem siostry z Las-ek (zakład niewidomych w Polsce), które zajmują się również i albinosami. Pamiętam, że był grudzień i żaliły się, że padł im piec i nie mają 800 USD na jego naprawę. A było tam ok. 140 dzieci. Wysłaliśmy te pieniądze i znaleźliśmy wykonawcę. Potem gdy od-wiedziliśmy te siostry przy granicy z Kongo, zostawiły im pieniądze i wybu-dowały z kostki specjalistyczne ścieżki i chodniki z ozna-czeniami dla niedowidzą-cych dzieci.

— Zdaje pan sobie sprawę, że jeszcze kilka takich kompleksowych akcji pomocowych i tamtejsi mieszkańcy obwołują pana „bogiem”, „zbawcą”, już pana z Afryki nie wypusz-czą? Będzie panu lepiej na Czarnym Łądzie, niż tutaj u nas, w Polsce?

— Rozróżniam te dwie rzeczy, a nauczyłem się tego od Sama Childersa (tzw. Kaznodzieja z kara-binem; w filmie pod tym tytułem zagrał go dosko-nały aktor Gerard Butler), z którym się doskonale znam i z którym mieszka-łem pod Sudanem. Powie-dział mi: „Irek, jeżeli chcesz naprawdę dobrze pomagać i się spełniać, musisz się wentylować, musisz wra-



cać (do kraju), nabrać siły, wzmocnić się i do dzieła!”. Z chęcią byłbym wszędzie, ale po prostu był już taki moment, że znajdowałem się cały czas w podróży i jak wracałem do kraju, to przepłukiwałem organizm – zmiana klimatu i trudy podróżowania to nie jest prosta rzecz. Przemyśla-łem to i stwierdziłem, że jeżeli będę wszędzie, to nie pomogę dokładnie w jednym miejscu. Dlatego w pewnym momencie za-trzymałem się w Kenii i wy-budowałem te kilkanaście kolejnych studni i rozdałem tony żywności. Fundacja to tak naprawdę tylko nazwa, a tworzę ją w zasadzie tylko ja sam, inwestując również – a może przede wszystkim – własne pieniądze. Tak było dokładnie przez pierw-sze 2 lata. Od niedawna ludzie chyba uwierzyli, bo zaczęli mnie wspierać.

— Skąd wzięt się Ireneusz Markowski? Etczanie koja-rzyli pana właśnie z akcji pomocowych względem Afryki, pamiętają wizytę w etckim ratuszu i ufundo-wany przez pana respirator. Przed naszą rozmową

zrobitem sobie mały research i okazuje się, że Irek Markowski miał bardzo ciekawe, pełne przygód życie.

— Generalnie gdy wy-szedłem z podstawówki to już w średniej szkole za-kładałem kapele. Zawsze byłem takim typem prze-wodnika i miałem w sobie to, że musiałem coś orga-nizować. Miałem w Elku kilka grup rockowych, graliśmy w szkole średniej i potem jak byłem przez 5 lat na politechnice. Prze-niosłem się nawet na stu-dia zaoczne, aby móc grać. Zawsze wokół mnie zbierała się jakaś grupka i coś organizowaliśmy. Na wa-

kacje zawsze wyjeżdżaliśmy – podróżowaliśmy autostopem po ówczesnej Czecho-słowacji, Węgrzech, aż do Rumunii. Po studiach trafi-łem na pół roku do wojska, a potem wróciłem do Elku i przez chwilę pracowałem w PRIM-ie. Potem zobaczy-łem, że moje życie nie jest nic warte, bo siedzę i robię jakieś dziwne kosztorysy. Kupiłem bilet do Londynu i tam pojechałem. Oczywiście zatrzymano mnie na granicy i nie chciano wpu-szczyć. Przesiedziałem cały dzień na koszt Królowej. Najwyraźniej musiałem jakoś uwiarygodnić swoją podróż. Ale w nocy mnie puszczono i trafiłem do sa-



mego centrum Londynu. Pamiętam że było zimno bo przyleciałem w styczniu.

— Zaciekało mnie to uwiarygodnienie podróży.

— Moja mama miała zna-jomą, która była żoną jakie-go londyńskiego producen-ta. Urzędnicy zadzwonili do niej z granicy i zapytali, czy ktoś do niej przyjeżdża. Ona mówi, że tak – córka koleżanki z Polski. Mówią „no jak córka, jak tu facet siedzi!”. Ale szybko się to wyprostowało no i przyszedł urzędnik i ze złością powie-dział „dobrze, to wjeżdżaj”. No to wjechałem, wychodzę w centrum – koło Victoria Station – patrzę, a tam sto-ją bezdomni ludzie i ogrze-wają ręce. Pomyślałem „co tu robić?”.

— Po zagranicznych woja-zach powrócił pan do kraju, ale już nie tyle na Mazury, co na Śląsk, gdzie miał pan rodzinę i podjął dobrze płatną pracę. W wywiadach dla tamtejszej lokalnej prasy wspominał pan, że „ktoś” dał panu szansę i zaufał, mimo że nie miał pan doświadczenia i był stosunkowo młodym czło-wiekiem.

— Do Wrocławia przy-jechałem w '98, a pół roku wcześniej byłem na rozmowie kwalifikacyjnej w dużej firmie z mojej branży. Po dwóch miesiącach zadzwonili do mnie i powiedzieli, że są zainteresowani. Ta firma akurat podpisała duży kontrakt, bo chodziło o modernizację Huty Florian. To była duża inwestycja za duże pieniądze i dano mi szansę. Prowadzi-łem cały ten kontrakt. Huta otrzymała dofinansowanie z WFOŚ i przygotowywałem do tego przez kilka miesięcy dokumentację. Potem moi szefowie i przedstawiciele Huty Florian zorganizowa-li mi kolację i podziękowa-li. Dla człowieka, który tak naprawdę dopiero startował w życiu zawodowym było to niesamowite przeżycie.

— Następnym krokiem było dla pana podjęcie własnej działalności i „na swoim” jest pan po dziś dzień. Nadal na Śląsku (Marcinko-wice). Ma pan po co wracać do Elku?

— Tak, mam tutaj rodzinę: mamę i brata. Z kolei moja najbliższą tworzymy z żoną i trójką dzieci.

— Jak bliscy podchodzą do tego, co pan robi?

— To co robię wynika z tego jaki jestem, potrak-towałem to jako pasję ży-ciową. Oczywiście wszyscy mnie wspierają bardzo mocno w tym co robię, ale z drugiej strony to jest ta-kie trochę „moje”. Nie chcę nikomu nic narzucać, na zasadzie że „chodź / jedź ze mną”, „pomóż mi” itd. Każdy z moich bliskich ma swoją pasję.

— Wygląda na to, że mam do czynienia z człowiekiem, który – niczym w holly-woodzkim filmie – ma do wypełnienia pewną misję życiową. Czy jest nią właś-nie pomaganie?

— Wie pan co, ja się strasznie zmieniłem po śmierci ojca. Gdy cho-rował, próbowałem mu z mamą i bratem pomóc i ściągnąłem go do Wroc-ławia. Niestety miał już bardzo wyjąłowany orga-nizm: cukrzycę, miażdżycę i wcześniej obciętą nogę. Niestety tego nie przeżył. Jeździłem z nim ostatnie dwa dni po szpitalach i on cały czas mówił, że nie prze-żyje, a ja tłumaczyłem „no przestań, no ewentualnie amputują ci drugą nogę, ale będziesz żył”. No i jak wracaliśmy z bratem i mamą z Wrocławia i zadzwoniła do mnie lekarka mówiąc, że tato niestety nie żyje, to mnie totalnie połamało. Pa-miętam, że skremowaliśmy ciało taty, pojechaliśmy do Elku na pogrzeb, a potem wszystkim oświadczyłem, że po prostu muszę zniknąć. Wziąć plecak i wyjechać.

— Decyzję podjął pan tydzień po pogrzebie. Była instynktowna czy w pełni przemyślana?

— Przemyślałem, po pro-stu nagle coś się we mnie złamało. To jest jakiś proces i wiadomo – miałem jakieś życie i firmę, więc musia-łem to jakoś poukładać, ale już byłem zdecydowany, że muszę coś zrobić. Wie pan, ludzie generalnie się nie zmieniają, ale czasami tra-uma potrafi zmienić człowie-ka. I mnie jako hulaszczego faceta zmieniła.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Maciej Chrościelewski

REKLAMA

Muzeum Historyczne w Elku zaprasza

SOBOTA W STAREJ LOKOMOTYWOWNI

25.02 | 18.03 | 15.04
2023 r.

Godz. 10.00 (dla dzieci)
Godz. 12.00 (dla dorosłych)

BEZPŁATNE ZWIEDZANIE
Z PRZEWODNIKIEM ŚCIEŻKI EDUKACYJNEJ
„CO KRYJE STARA LOKOMOTYWOWNIA?”

10923ekwe-b - F